

Agnieszka Gadzińska-Grądkiewicz

**I.**

**Wypalanie**

*Niczego mi proszę pana  
Tak nie żal jak porcelany.*

Żal nas oto opuścił, tak porcelanowy,  
że mógł się wykaraskać z wypadków miłosnych  
ze znośną skorupą, gdy ta w wojnie  
samą siebie mnoży. Wśród niej się płożą odmieńcy  
i wyciągają ręce po noże i widelce, żeby usiąść prosto,  
tak jak i my, drodzy państwo, zrobimy to zaraz.

I patrzmy na garncarza, jak kręci, kręci bryłą,  
jak z gliny rosnące nam milczy: a jest, a nie było,

jak nożyk wycina wzory na glinianym brzuchu,  
ażury, kaprysy o symetriach, kolorach i rzeźbie:  
ciał, ziem i, z szafek, naczyń, których nie muśniemy.

**II.**

**Zapałki**

Nad łąką wielką i czystą żadnego nieba nie widać.  
Unosi się nad nią skryba, błękitny niby  
metafizyka, i biały, jak tamten wieloryb,  
tak do igraszek skory, daleki

od rąk rozrzuconych w trawie; ona twarze zakrywa,  
zadziwione nad łąką,

tak wielką i czystą, że i noc jej nie brudzi  
z jej piorunem jasnym. Noc jedynie,

w burzy, z gęstwiny wyjawi, wyśpiewa  
światło w oknie: jakby kto tam benzynę rozlał na drzewa.

### III.

#### Nie

Tam to widuje się przybysza,  
i mawia, że tylekroć przychodzi, ilekroć ręce  
chce się do niego wyciągać, a opuszczone trwają  
na baczność. Wydają się wojny, kiedy majaczy,  
przybłęda na gałęzi,  
tak że mógłby kto przysięgać, ale z daleka,  
z daleka, że ptak, nie człowiek, że uleci  
razem z oddechem patrzącego, i tak się dzieje,  
tak, tak się dzieje, nigdzie go nie ma.  
Choćby wołać i wołać, będzie kiedy indziej.

#### W drodze do miasta

Widziałam dwa żurawie na zaoranym polu;  
szarady, kręgosłupy z nieznannej opowieści.

Nie były moje ptaki. Nie była moja ziemia  
ani las nieczytelny, z bazgrołów na powietrzu.

Nie zabierałam rzeki z cytatu z szyby obok;  
przecięła most i znikła. Ktoś później zmasał domy.

Z nich patrzyli przeze mnie ludzie niczym żurawie  
w spulchniony dawno splacheć; przydrożnie nieobecni.

Gapiałam się z daleka w nagłówki z minerałów.

#### Tak daleko

Nie szukam miejsca na odpoczynek: przy szosie,  
w oście, palę papierosa.  
Czerwieni się plebania obok; jaszczurka pnie się po cegle,  
jedna z łapek bluszczu. Za siatką pieje niewidoczny kogut,  
gdaczą czarno nakrapiane kury, a głos obcego mężczyzny  
zza pleców powie: tu mieszkał znajomy, człowiek bez nogi.  
Siedzisz w jego pokoju.

Podnoszę głowę, żeby znaleźć sufit, gładkoszarą chmurę  
w groszki z jaskrawości; światło przesieje się  
przez stare płótno.  
Chciałam cię dotknąć, zanim mnie zasypie.

### **papieros**

Mam w lewej ręce gąsienicę od ciebie,  
zdjętą z gałązki, papierosa w prawej;  
i głupio wśród sosen prostych i wysokich,  
tak innych niż tamte, na półwyspie, niziołki w lansadach,

myśleć, że gdy larwa stawonoga w środku  
otwartej dłoni zwija się w pierścionek –  
ufa.

### **Nie wiem czy można**

wyżyć z poszukiwania zaginionych bajek,  
które wyszły i nie wróciły albo wracają dlatego że nie wyszły.

Piszę je do ciebie. Z pisania są ramiona jak źdźbła na klawiaturze  
i listu nie ma; nie wiem, co pamiętać, o czym zapomnieć.  
Łąki wzdłuż rzeki piszą – jak ja – trawą; skoszona łąkocze nos,  
pachnie świeżo ściętym.